Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się!

PRAWO LUDU

TYGODNIK ILUSTROWANY.

ORGAN POLSKIEJ PARTYI SOCYALNO-DEMOKRATYCZNEJ · WYCHODZI W KAŻDY PIĄTEK.

Nr. 17. Kraków, 1 Maja 1910. Rok XIII.

Wydawca i redaktor: **Zygmunt Klemensiewicz.** Prenumerata wynosi rocznie: W Galicyi 4 kor.; w Niemczech 5 M; w Ameryce 2 dolary. Numer pojedynczy 10 hal. Adres: „Prawo Ludu“, Kraków, ulica Zwierzyniecka 10. Konto pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 71.905.

1 MAJA.

Mijały lata za latami, wieki za wiekami, a lud pracujący ginął marnie w jarzmie niewoli i wyzysku. Nikt nie miał nad nim litości, nikt nie uważał go nawet za człowieka. Możni tego świata uciskali bez litości lud biedny, myśleli tylko nad tem, w jakiby sposób stan ten okropny utrzymać w nieskończoność. A robotnik i chłop żył ogłupiały, wynędzniały, ciemny i pokorny i tylko w „świątyniach Pańskich“ bił głową o zimne kamienie, czekając zmiłowania boskiego. I noc panowała na ziemi, noc okropna, straszna, w której przy szczęku szkieletów robotniczych bogacze jedli, pili, hulali i „w pijanej ochocie — przewalali się po złocie“. I noc panowała na ziemi, w której słychać było tylko jęk ginących z głodu i wycie wiecznie krwi głodnych katów-hyen!

Lecz błysnął świt! Zabłysnęła wreszcie Czerwona Jutrzenka, a za nią weszło słońce jasne, promieniste i światłem zalało świat cały. I popłynęła po ziemi pieśń nowa, nieznana, pieśń zemsty i nadziei, popłynęła pieśń pracy. Z serc nędzarzy całego świata wydarł się grzmiący okrzyk: „Wolności! Światła! Życia!“ Lud pracujący całego świata połączył swoje spracowane dłonie i powstał do walki o prawa człowieka.

A z szarych dni codziennego życia wychylił się dzień jeden — dzień, jakiego historya ludzkości jeszcze nie zapisała.

Pierwszy maj! Dzień protestu ludu pracującego przeciw istniejącemu zbrodniczemu porządkowi społecznemu, dzień sądu i obrachunku z wrogami, dzień międzynarodowej solidarności i miłości robotniczej. Zakotłowało się w świecie gnębicieli ludu. Jakto! „Głupi motłoch“ robi sobie jakieś swoje własne święto, nieuznane przez władze z „bożej łaski“, nie zatwierdzone przez powagę watykańskiego mocarza? Więc stosami błota, morzem oszczerstw i szyderstw, potęgą klątw, ba! potokami krwi chcieli zdusić to buntownicze święto. Naprożno! Pierwszy maja żyje, żyć będzie, żyć musi dotąd, dopóki żyje dzisiejszy „stary, podły świat“, dopóki nie zapanuje dla ludu biednego nowe życie, nowy raj.

Pierwszy maja, to święto smutnych, święto wyzyskiwanych, święto „nowoczesnych niewolników“. W tym dniu świętym wszystkie bóle klasy pracującej, wszystkie jej pragnienia i cele przemawiają na całym świecie głosem piorunu, niosąc w szeregi wyzyskiwaczy strach i przerażenie. Dzisiaj starcy nasi, wdowy i sieroty nasze wielkim głosem wołają: „Chleba!“ Z ponurych koszar wojskowych rozbrzmiewa dzisiaj rozpaczny głos: „Wolności!“

Czyjeż serce, o bracie, nie zabije żywiej w tym dniu uroczystym? Któż będzie wątpił, że niepróżnymi będą nasze trudy i znoje, że bój nasz krwawy i ciężki skończyć się musi całkowitem naszem zwycięstwem? Któż z nas nie przysięgnie sobie dzisiaj, że póki życia jego stać będzie pod Czerwonym, robotniczym Sztandarem, że żyć będzie jedynie miłością gorącą dla świętej idei, miłością dla swoich braci, a śmiertelną nienawiścią do swoich wrogów!

Pamiętajmy, Towarzysze, że święto pierwszego maja, to olbrzymi krok naprzód w wyzwoleniu się z najcięższej niewoli na świecie, z niewoli klerykalizmu. Czarny świat niczego tak nie nienawidzi, jak święta pierwszego maja. Więc śmiechem szyderstwa witajmy każdy cios naszych wrogów, wymierzony przeciwko nam, wszelkie ich niecne zamiary i wysiłki. Więc głosem wielkim zakrzyknijmy dzisiaj:

Niech żyje 1 Maja!

Niech żyje święto robotnicze!

Niech żyje i zwycięża międzynarodowa socyalna-demokracya!



Co to jest Międzynarodówka?

Przepojona policyjnymi poglądami wyobraźnia burżuazyi przedstawia sobie Międzynarodówkę Robotniczą jako pewnego rodzaju tajne sprzysiężenie, której naczelny zarząd nakazuje od czasu do czasu wywoływać powstania w różnych krajach. Nasze stowarzyszenie jest jednak faktycznie tylko międzynarodowym węzłem, który łączy najwięcej rozwiniętych robotników w różnych krajach świata cywilizowanego. Gdziekolwiek i w jakiejkolwiek postaci i w jakichkolwiek warunkach walka klas znajduje jakąś trwałą podstawę, naturalnem jest, że członkowie naszego stowarzyszenia stają w pierwszym szeregu. Grunt, na którym stowarzyszenie nasze urasta, stanowi wyłącznie



nowoczesne społeczeństwo i dlatego nie może ono zostać zdeptane choćby najsilniejszym rozlewem krwi. Dla jego zdeptania musiałyby rządy przedewszystkiem złamać panowanie kapitału nad pracą, to znaczy podstawę swojej własnej posorzytniczej egzystencyi*).

Karol Marx.

CHACHAR: WOLNOŚCI HUCZY DZWON.

Świat w posadach swoich drży
I w weselny nuci ton:
Dziś się pełnią nasze sny,
Dziś wolności huczy dzwon.

Słodki, luby, wolny śpiew
Płynie ku nam ze wszech stron:
Za łzy nasze, naszą krew
Dziś wolności huczy dzwon.

Patrz! Wokoło nowy świat!
Patrz! Tak cudny niebios skłon!
Miast niewoli dawnych lat
Dziś wolności huczy dzwon.

Marnie ginie wraży ród,
Smutny nad nim wisi zgon;
Dziś do głosu przyszedł lud
I w wolności bije dzwon.

Pierwszy Maja a wyzwolenie ludu.

Dziwnem i niezwykłem jest to święto robotnicze!

Lat 21 jeden zaledwie mija, odkąd kongres paryski uchwalił święcić dzień 1 maja — a już zdołał on zróść się silnie z ruchem proletaryackim, głęboko zakorzenił się w sercach i duszach mas ludowych i stał się dniem manifestacyi proletaryatu na rzecz szczytnych haseł idei socyalistycznej. Dzień 1 maja to nie tradycyjny dzień święta kościelnego, nie wspomnienie zamarłej, skostniałej przeszłości, nie dzień pokuty ni poniżenia hańbiącego, ale lepszego jutra zapowiedź świetlana, ale chwila, kiedy prostuje się duch w człowieku spracowanym, kiedy święty bunt ogarnia duszę milionowych mas i płomieniem wybucha w rozgłośnym hymnie nadziei i zmartwychwstania.

Przez wieki całe, dziesiątki lat męki i cierpień śnił lud roboczy o dniu, który przyjdzie w zorzy szkarłatnej i we wiośnianej krasie, o dniu, w którym na głos pracowników zamrze wszelki trud i praca wszelka, i cisza wielka i przemożna ogarnie świat wyzysku i niedoli.

Miał on być symbolem spełnienia się najskrytszych tęsknot heloty, promiennym słońca błyskiem wśród beznadziejnych dni mroków i rozpaczy, dniem mocy i chwały, otuchy i pokrzepienia dla uciemiężonej braci roboczej.

Takim go wyśnił w marzeniach lud roboczy, takim wykołysał go w swej tęsknocie bezmiernej i takim też jest ten dzień 1 maja dla rzeszy pracującej.

Łazarze życia utkali to święto z perłowych rós łez swoich i szkarłatu krwi serdecznej, ożywili je tchnieniem żaru wieczystego, który dusze ludzkie nurtuje i trawi i uczynili je świętem wszystkich tych, co cierpią i walczą, co niezłomnie „w jutro wierzą i wbrew nadziei nadzieję szerzą“.

Bo świat kapitalistyczny zaprzągł te masy w jarzmo ohydnej i brutalnej pracy, on rozbił tylekroć opiewany spokój ogniska rodzinnego, rozdzielił męża i żonę, dzieci i rodziców, człowieka oderwał od gleby rodzinnej i rzucił go w świat szeroki w pogoni za kawałkiem chleba. Ta praca niezorganizowana, anarchiczna, konkurencyjna wytwórczość towarów, pogoń za zyskiem bez względu na rzeczywiste potrzeby ludności, przywiązały klasę pracującą do brudnego warsztatu, przykuły ją w dzień i w nocy do maszyny i uczyniły z niej niejako jej część składową, duszę spętały w człowieku, chcąc uczynić go pokornym i niewolnym. Tej masie wyzyskiwanej odarto cały świat z piękna, oczy jej przesłonięte mrokiem ciemnoty, aby nie mogła wyjrzeć na świat i rwać się do życia r czynu.

Wieki całe drzemał uśpiony olbrzym — lud roboczy.

Aż z chaosu tęsknot i pragnień wyłoniła się myśl socyalistyczna — wielka idea o zbrataniu ludów, o zrzeszeniu się wszystkich uciśnionych i bezdomnych dla wspólnej walki o chleb i prawa dla wszystkich ludzi. Ona z nizin życia wyprowadziła te bierne i ciemne masy, głosiła im równość wszystkich wobec życia, kazała im rzucić pokorę i wysoko nieść sztandar walki o wyzwolenie całej ludzkości.

Organizacya socyalistyczna silnie związała kadry robotnicze po całym świecie żelaznym pierścieniem, gęstą siecią stowarzyszeń swoich ogarnęła cały glob ziemski, i pod czerwonym znakiem międzynarodówki powiodła te rzesze w bój o wyzwolenie z ucisku ekonomicznego, politycznego i ciemnoty.

Dawny niewolnik podniósł kark, poczuł wartość swojej pracy, uznał doniosłość swej wytwórczości i zdobywając krok za krokiem swe prawa, nie zadawalał się, nie spoczął, wiedząc, że masa robocza wiecznie musi być niezadowoloną i że myśl rewolucyjna nie da się powstrzymać w swym pochodzie zwycięskim, wszak głosi pieśń jego: „co złe, to w gruzy się rozleci, co d o b r e, wiecznie będzie żyć“.

I przeciw temu wrogowi ludzkości, przeciw potworowi kapitalizmu, który niszczy byt i szczęście milionów, organizuje się lud, a w dniu święta swego, w dniu 1 maja czyni przegląd swych sił żywotnych, zestawia wszystek owoc

*) „Wojna domowa we Francyi 1871“.

SPRAWIEDLIWIE.

napisał **Benedykt Hertz.**

Było mu na imię Lech a na przezwisko Fujara. Miał wedle drogi chałupę, jak się patrzy, ale w niej, kto chciał, gospodarował.

Pietrek dziubaty bałamucił kobietę, Jankiel gadziną zarządzał, Bartek Cichy worywał się w grunta...

A wszystko bez to, że Lech był z takiego już rodu niedojdów: dziad-Fujara, ociec-Fujara. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni“ — szeptali sąsiedzi i z utrapień biedaka jeszcze się naśmiewali. Ocieli mu się, na ten przykład, krowa, wnet se karczmarz jakoweś zabaczone długi przypomina: a to za gorzałkę, a to za piwo, a to za tabakę...

— Co? kiedy? krzyczy chłop.

— Ojej, gospodarzu, jaką że wy macie głowę?! Stoi napisane.

— Adyinem syćko na św. Michała zapłacił. Cego się zydzie cepios!

— Zapłaciuł?... A to, co gospodorze po jarmarku pili, zapłacone?... Ny, kto fundował?

Dopiero chłopy w śmiech.

— Widzita go Fujarę! Teroz się wypiro...

Co było robić? — I tak zawsze. Wyjdzie z pługiem w pole — patrzy, a tu Bartek miedzę już zaorał i jak po swojemu ciągnie.

— E, somsiad! Gdzieśta to wjechali?

— No co?

— Dyć grusa na miedzy stojała, a tero dzie...

— Stojała, dzie stoi.

— Nie prowda!

— Widzita go! Powieda, ze grusa bez miedze przelazła.

I znów chłopy w śmiech: Oj ze Fujara, to Fujara.

Lech umilkł, bo jakże miał jeden z całą gromadą wojować. Jeszcze go za głupiego ogłoszą i będzie. I tak dzieciaki przezwiskami za nim gonią; a taki rak najgorszy: krzyknie i w nogi.

Już się życie Lechowi przykrzyło. Taka go czasem brała markotność i złość, że ino bić. Babę sprałby nieraz, ale ta znów pysk miała, że niech ręka boska broni. W dodatku brat Magdy, któren z Pietrkiem trzymał, jako ze oba za świarcem chodzili na Niemce, nieraz się odgrażał: — Ino ją rus...

Więc tłumił w sobie gniew, przezwiska puszczał mimo uszu, a każdemu, co chciał z nim pić, fundował. Myślał, że onem fundowaniem jakieś serce pozyska. Ale nie. Chłopy zaczęli uważać, że się im poczęstunek od Fujary należy: przysiadali się sami. Aż pewnej niedzieli, kiedy po skończonem nabożeństwie naród w karczmie gwarzył, zwrócił się Lech do kilku najpoważniejszych gospodarzy z taką mową:

— Słuchajta kumotry! Ja już dawno chciał z wami pogadać wedle sprawiedliwości.

— O macie go! Fujara! — odezwał się ktoś z tyłu. Lech obejrzał się i spostrzegł Franka. Porwała go wściekłość.

— Milcz kondlu! — ryknął niespodzianie. Zrobiło się cicho. Fujara ciągnął dalej.

— Kuzden widzi, ze mnie ludzie krzywdzą. Moja grusa dziś hen, w bartkowem polu, mój przychowek — w jankielowej oborze, moja baba... (tu machnął ręką), co tam godać... wiadomo. A upomnę się, to cało gromada jesce na mnie. Tero powiedzta somsiady, będzie tu je ksześcijańsko sprawiedliwość?

Zamilkł i wodził okiem po zebranych. Ale



GUIDO RENI. JUTRZENKA.

walki całorocznej i stwierdza, wielu nowych towarzyszów broni przybyło szeregom naszym, jak szerokie kręgi zatacza dziś wyzwalająca myśl socyalistyczna.

Święto pracy jednoczy w imię miłości powszechnej walczące szeregi proletaryatu, wiedzie je w demonstracyjnym pochodzie na urągowisko światowi kapitalistycznemu, zbrojnemu w potęgę militaryzmu, kleru i pieniądza, ustrojowi bezprawia, krzywdy i wyzysku głosi śmierć i zagładę, wieszcząc nową ewangelię o zbrataniu ludów.

I kjedy w dniu 1 maja zagrzmi wolna pieśń robotnicza czują wszyscy, że nowa powstała potęga, że z trudów, poświęcenia i bezgranicznej ofiarności bezimiennych bohaterów buduje się nowy gmach wolności, równości i braterstwa.

Masie robotniczej całego świata wieści święto majowe przyszłą wolną społeczność socyalistyczną. *S. Fensterblau.*

FR. MIRANDOLA: NA POLE CZYNU.

Na pole czynu spiesz
Roboczy ludu dzielny...
Zapału iskry wkoło krzesz
I wodze JUTRA w rękę bierz,
By dzień wstał nieśmiertelny.

Na walkę spiesz, na wielki bój,
Nim zwiążą ręce katy,
To nic, że krwawy czeka znój,
Do boju się o wolność zbrój,
Do zemsty i odpłaty.

Pomnij, żeś orłem ludu jest,
Co wstaje w skrzydeł chrzęście,
A krwawy dzisiaj bierzesz chrzest,
Byś poznał, żeś potężny jest,
I światu niesiesz szczęście.

Rozpostrzyj wielkie skrzydła swe,
Od krwi czerwone własnej,
I na niebiosów jasnem tle,
Jak tęcza, kiedy burza wre,
Dzień ciszy zwiastuj jasny.

Na pole czynu spiesz
Roboczy ludu dzielny...
Zapału iskry wkoło krzesz,
I wodze JUTRA w rękę bierz,
By dzień wstał nieśmiertelny!

Nędzarz ma wodę, suchy chleb,
Bo wciąż zbawienia czeka z nieb;
Bogaci mają wino, tort,
Bo ciągle pomagają im
Trzy siły: wyzysk, grabież, mord.
M. R.

Czego mamy żądać w dniu naszego święta?

Zbliża się dzień pierwszego Maja, w którym to dniu demonstruje proletaryat całego świata. My szczególnie polscy robotnicy powinniśmy godnie czcić ten dzień wolnej myśli i uczuć bratnich, w którym uwalniamy się z codziennej pańszczyzny pracy aby spojrzeć w jasne słońce wiosenne. My szczególnie polscy robotnicy, którzyśmy wychowywali się całe wieki w kościele i karczmie, powinniśmy czcić ten dzień, jako symbol naszej wiary w przyszły lepszy ustrój społeczny.

Ogłupianie i gnębienie mas ludowych to zasada naszych narodowych wrogów, którzy dotąd nie dali nam tego, co nam dał rząd austryacki t. j. powszechnego prawa wyborczego do Sejmu i gminy, bo się boją kontroli ich gospodarki przez klasę robotniczą. Sejm dzisiejszy nietylko nie myśli o ulżeniu nędzy robotników ale przeciwnie nakłada na nas nowe podatki i ciężary. Żądamy więc dzisiaj powszechnego prawa wyborczego do Sejmu i Rad gminnych.

Żądamy dalej 8-godzinnego czasu pracy i ubezpieczenia społecznego, ponieważ dzisiejsze stosunki doprowadzają klasę pracującą do rozpaczy.

---

nikt nie spostrzegł, że dziś patrzy nie tak, jak zwykle; zagląda w oczy prosto, jak dziedzic jaki.

— Powiedzta — rzekł raz jeszcze.

Stary Matus Grzdyka, co to wszystkich godzić zawsze lubił, otarł gębę czerwoną chustką i przemówił pierwszy.

— Nieraz się człowiekowi widzi, że mu każden na złość czyni. Idzie borem — sosny go obgadują, w polu konik mu wydziwio, w chałupie — wicher bez komin urągo i tak zawdy. Jo nie mówię, żebyśta, Fujara całkiem już racyi nie mieli, ale tam z igły widłów nie róbta. Napijwa się na zgodę i niech będzie koniec.

Wypili, lecz osowieli wszyscy.

— Co to gadać — rzekł wreszcie Wojtek Pacior, Bartkową siostrę za żone mający. — Na cyjem groncie drzewo rośnie, temu owoce rodzi. Kazden własnem okiem widzi, ze grusa nie na wasem polu,

— Kiej mi gwołtem wzion.

— Musi sprawiedliwie.

— A jak mi Jankiel podwójną kredą pise, a jak mi Pietrek zone bałamuci, to też sprawiedliwie? Co! Gadajta!

Tu zabrał głos organista: — Vox populi-vox dei — rzekła duchowna osoba, błyskając żółym kłem — sierotą. Sprawiedliwość na wierzch, jak oliwa, zawsze wypłynąć musi...

Mówił długo, pięknie, mądrze, ale tak jakoś kręcił, że ani sposób wyrozumieć. Chwilami zdawało się, że wnet zakończy przyznaniem racyi Fujarze, lecz raptem kilka słów nowych pakował i gadał, gadał, gadał...

— Jak coś ktoś komu zabierze, pokrzywdzonego trza bronić, tak wiara nasza święta przykazuje. Jeno to powinno być wiadomo, czy zabrano prawdziwie. Bo jakbyś niesprawiedliwie osądził, to je wrota niebieskie po wiek wieków zamkniesz. Bez to też uczył pan Chrystus: nie sądź, abyś nie był sądzony, ile że łacno w sądzeniu omylić się można...

W karczmie powstał nagle rumor. Organista przerwał mowę i podniósł oczy.

Lech Fujara z rozwichrzonym włosem, z wybałuszonymi gałami biegał po izbie jak rozhukany ogier.

Przedewszystkiem zdzielił Pietrka kuflem między oczy, a poprawił pięścią w brzuch tak zacnie, że amant runął pod stół, jak nieżywy. Dopadł następnie Jankiela, chwycił za brodę, grzmotnął o ziemię i kopnął w zęby. W końcu złapawszy stołek, pogonił za Bartkiem, który, na widok niespodzianie rozjuszonego sąsiada-Fujary, stracił nagle rozum i zmiatał przez pole, jak zając. Lech wypadł za nim.

— Ktoby to powiedział, że jucha tako mocno! — Szeptano w karczmie.

— No, no... Musi ma recht.

Fujara wrócił nieco uspokojony; stanął, naprzeciw sąsiadów i sapał.

— Jo zawdyk mówił — odezwał się po chwili Grzdyka, że was niesprawiedliwie krzywdzą.

— I ja także — dodał organista.

Lech odetchnął głęboko raz, drugi, uśmiechnął się i rzekł:

— Wieta gdzie ludzka sprawiedliwość? Tero wim! — O, tu!...

I pokazał swą olbrzymią zaciśniętą pięść.

Trzeba ino wiedzieć, kiedy i jak sprawiedliwie nią łupnąć.

Święto 1 Maja powinno być dla nas największem świętem w całym roku. W imieniu wiekowych naszych krzywd, naszych ojców i dziadów powinniśmy zaagitować tak, aby każdy robotnik bez wyjątku wziął udział w demonstracyach majowych. Niech obecna drożyzna żywności i mieszkań będzie tym wielkim agitatorem, któryby nas sprowadził w ogromnych ilościach na nasze robotnicze zgromadzenia. *Władysław Michoński.*

Wolności! Światła i chleba!

Wspomnienia o Bolesławie Czerwieńskim

twórcy „Czerwonego Sztandaru".

Świeżo wydana „Księga pamiątkowa półwiekowego jubileuszu gimnazyum im. Franciszka Józefa w Lwowie" zawiera między innemi wspomnieniami o uczniach i profesorach tego zakładu, także bardzo charakterystyczne wspomnienie z ław szkolnych o Bolesławie Czerwieńskim. Wprawdzie pseudonimowy autor zdaje się nie chcieć wiedzieć o wybitnej roli, jaką Bolesław Czerwieński odegrał później w historyi rozwoju socyalizmu w Galicyi, ale właśnie dlatego relacya jego nie może ściągnąć na siebie zarzutu stronniczości lub nawet nieprawdomówności. Posłuchajmyż jego opowiadania, uzupełnionego tu i owdzie wiadomościami z innego, nie mniej wiarygodnego źródła:

Poznałem Bolka, jako uczeń w półroczu letniem r. 1867 w V kl. gimnazyum akademickiego w „Domu Narodnym". Były to czasy, kiedy język niemiecki był wykładowym. Dyrektorem tego zakładu był Piątkowski, wielki dziwak i oryginał, zarazem jednak człowiek rzadkiej zacności i serca, przytem gorący patryota polski. Z grona nauczycielskiego przypominam sobie trzech zwłaszcza: Gerstmanna, Kerekjartę i Polańskiego, dzielnych pedagogów, szanowanych i kochanych zarówno przez Polaków jak Rusinów. Bolko, ładny, jasnowłosy chłopak, średniego wzrostu, szczupły i dość wątły, o szlachetnym, czystym profilu rzymskim twarzy i wyniosłem czole, na którem w chwili gorętszego zajęcia w rozmowie z kolegami, rysował się mars nad wiek poważny i surowy. Zażywał wogóle opinii „łepaka" i najlepszego ucznia w „polskiem". Po klasie kursowały po pod ławki ulotne jego wierszyki, raz treści satyrycznej, to znów poważnej patryotycznej. Lubiany też był ogólnie przez kolegów i profesorów, którzy odgadywali w nim umysł i talent niepospolity...

W r. 1868 w zimowem półroczu spotkałem Bolka w kl. VII w gimnazyum Franciszka Józefa. Siedzieliśmy obok siebie, w ostatniej ławce, i węzły koleżeńskie zacieśniły się wtedy pomiędzy nami. Pomagaliśmy sobie, jak mogli. On mnie ratował w krytycznych chwilach zdawania partyi historyi, literatury polskiej i niemieckiej, ja odwzajemniałem mu się podpowiadaniem z łaciny i greczyzny i pomocą w matematyce. Obaj jednak nie cieszyliśmy się łaską gospodarza klasy, nieżyjącego już dziś profesora Zygmunta Samolewicza, który uczył języków starożytnych, a nie lubił u ucznia tłómaczenia autorów, odbiegającego od szablonu szkolnego, czyli dosłownego.

W tej mierze Bolko zwłaszcza, na głos nieraz prostujący zwroty i wyrazy egzaminowanych kolegów, zaczerpnięte żywcem z t. zw. preparacyi, wywoływał zawsze chmurne rzuty oczu i wyraźne rozdrażnienie na twarzy gospodarza klasy, który niewolniczo trzymał się „przepisanego" słownika! Irytowała go także reputacya Bolka jako „poety" (głośne stało się później imię jego jako twórcy polskiego tekstu „Czerwonego Sztandaru") i byle schwytał go na jakiej usterce, pod względem gramatyki łacińskiej czy greckiej, w tej chwili wybuchał słowami: „Wolałby Czerwieński lepiej uczyć się łaciny i greczyzny, aniżeli marnować czas na bazgranie jakichś tam niedorzecznych wierszydeł"... Ja znowu ściągnąłem był razu pewnego niechęć naszego gospodarza klasy z takich powodów. Miał zwyczaj — stosowany najczęściej do uczni, siedzących w ostatnich ławkach — że egzaminując z tłómaczenia autora, jeśli ono szło uczniowi gładko i poprawnie, zachodził mu poza plecy — gdyż pomiędzy ostatnią ławką a ścianą było jeszcze dosyć wolnej przestrzeni — i bez żenady zazierał przez ramię czytającego do książki. Podejrzywał oszukaństwo, mianowicie wypisane między wierszami tłómaczenie. Tę nieufność do mojej znajomości objawił też pewnego razu w opisany właśnie sposób. Lecz zaledwie stanął poza mną, jakiś dyablik ambicyi studenckiej



Bolesław Czerwieński.

zbuntował się we mnie i jakby pod naciskiem sprężyny, w oka mgnieniu obróciłem się w ławce do niego frontem. Aż odskoczył o parę kroków w tył ze zdziwienia! Po chwili ochłonął i drgającemi od irytacyi wargami i głosem chrapliwym wykrztusił: „Co to ma znaczyć"?

Poczciwy Bolko pospieszył mi jednak z odsieczą. Wstał, odwrócił się także frontem do pana profesora, i drżącym od wzruszenia głosem rzekł dobitnie: „To znaczy panie profesorze, iż kolegę i nas wszystkich obraża takie postępowanie! Może pan profesor — nie dowierzając któremu — karze sobie podać książkę, ale z poza pleców zazierać nam w książkę, uważamy za dotkliwą obrazę. Nie jesteśmy przecież oszustami, jakby pod dozorem policyjnym!" Umilkł, odwrócił się i usiadł na swem miejscu, co ja za nim też uczyniłem.

Tymczasem w klasie rozległ się szmer podziwienia dla Bolka. Nikt bowiem nie przeczuwał w wątłym młodzieniaszku takiej odwagi i energii wobec groźnego, a bezwzględnego zawsze gospodarza klasy.. Wśród zaległej potem ciszy i zbity z tropu pedagog milczał — jeno ręce i ryża broda trzęsły mu się jak w paroksyzmie zimnicy. Wreszcie wykrztusił ze siebie te dwa słowa: „Tak?... Dobrze!" — i szybkim krokiem pobiegł do katedry. Tam dobył katalog i długo w nim pisał. Że nie pochwały dla nas obu — dowiedziałem się z półrocznego świadectwa; z obydwu przedmiotów otrzymałem od niego „trójkę"...

Ten epizod z życia Bolka świadczy wymownie o niepodległej, śmiałej jego duszy, o głębokiem odczuciu każdej krzywdy, kolegom zrządzonej. Takich przymiotów nie lubieli pedagodzy dawnego autoramentu, wychowani w serwilizmie i biurokratycznym duchu przełożonej władzy. I zapewne dzięki tym zaletom Bolka, który bezwarunkowo górował talentami i nad wiek swój rozwiniętym umysłem po nad wszystkimi prawie kolegami, ten Bolko zaledwie, jak to mówią, przełaził z klasy do klasy... Jedyną eminencyę miewał z języka polskiego, a dziś szczególniej podnieść należy, że najulubieńszym pisarzem jego był już wtedy Juliusz Słowacki. Nieoceniony nasz nauczyciel języka polskiego żyjący jeszcze radca Bolesław Baranowski, wówczas młody suplent, odczytywał nam na wzór jego wypracowania pismienne; żeby jednak ślepo nie ulegał wpływowi Słowackiego, radził mu zawsze rozczytywać się pilnie w nowem jeszcze wówczas dziele Małeckiego o poezyach Juliusza. Nie dawno też na zjeździe zeszłorocznym odezwał się ten sam Baranowski, że kult Słowackiego nie jest u nas rzeczą tak nową! Zamiłowanie jednak do ojczystej literatury nie zawsze bywało lat temu 40, dostateczną rekomendacyą w oczach c. k. gremium nauczycielskiego, zwłaszcza zaś naszego gospodarza klasy. W lat coś 20 później, kiedy już zrobił świetną karyerę, słyszało się o nim, że jest gorącym patryotą. Niech mu ziemia będzie lekką... Ale Bolko opuścić musiał mury gimnazyum Franciszka Józefa i gdzieindziej zdawał egzamin dojrzałości.

W uniwersytecie lwowskim odbył dawniejsze trienuium na Wydziale filozoficznym; brał żywy udział w życiu „Czytelni akademickiej"; podczas jednego obchodu Mickiewiczowskiego w sali ratuszowej miał świetny wykład o „Odzie do młodości", który nawet ukazał się drukiem. Wcześnie poświęcił się zawodowi dziennikarskiemu, zasilając lwowskie dzienniki swojemi pracami... Spotkaliśmy się po kilku latach rozłąki w redakcyi Rogoszowego „Tygodnia", gdzie w r. 1874 pojawiła się niemiłosierna krytyka wydanych przez dawnego naszego gospodarza klasy: „Studyów Platońskich". Krytyka ta wykazująca naszemu filozofowi czarno na białem zupełny brak oryginalności i wprowadzenie w błąd krakowskiej Akademii, która tę pracę pomieściła w swoim pamiętniku (T. I), napisał jeden z naszych kolegów szkolnych — i to było dla nas wielką satysfakcyą! Bolko nie posiadał się z radości... Wkrótce stykaliśmy się także w redakcyi „Dziennika Polskiego". Odtąd żyliśmy z sobą nieprzerwanie aż do jego przedwczesnego zgonu w kwietniu 1888. W tym czasie wydał spory tom poezyi szkolnych i napisał dramat p. t. „Niewolnicy", który ówczesny dyrektor Jan Dobrzański wystawił kilka razy na scenie Skarbkowskiej. Może należałoby go wznowić! A może byłby to już ostatni czas, aby ktoś duchem pokrewny zajął się zebraniem i oceną spuścizny literackiej po nieodżałowanej pamięci koledze, przyjacielu i o jednym z pierwszych „towarzyszu". *Prof. Dr S.*

50 milionów na 1 pancernik — ani grosza na ubezpieczenie robotników.
Precz z militaryzmem! Lud żąda szkół, a nie armat!



Nędza, głód blady do drzwi pukają,
Do robotniczych pukają drzwi,
Tutaj dla siebie ofiar szukają,
Wiecznie spragnione ich łez i krwi.

I weszły wiedźmy — i zaraz w chacie
Smutek i rozpacz osiadły tam...
Ach! bracia moi, wszak wy to znacie!
Czyż więcej mówić potrzeba wam?

Lecz w górę serca! W czas niedaleki
Wolność wyzwoli gnębiony lud,
Z powierzchni ziemi zginą na wieki
Wampiry ludu: nędza i głód.

Idzie lud — jak burza!

Wszelki ruch ludowy, będący wyrazicielem pewnych idei nowych i światopoglądów reformatorskich, ma to do siebie, że nietylko stara się najradykalniej wprowadzić w czyn wyznawane zasady, ale że jednocześnie kroczy, a raczej szaleje, jak burza.

Żywiołowość i rozpętanie głęboko tkwiących w masach ludowych sił są nieodzownym czynnikiem wszelkich przeobrażeń społecznych, jeżeli te przeobrażenia mają sięgać do jądra przyczyn zła i wywoływać pożądane i niepowierzchowne skutki.

To też rewolucye społeczne podobne są do kataklizmów atmosferycznych: pełne piorunów i błyskawic oślepiających, lecą huraganem, niszcząc wszystko, co nie ma dość sił, aby się oprzeć. Bo gdy drzewa spróchniałe padają już przy silniejszym podmuchu wichrów, to potężne, głęboko korzeniami w ziemi tkwiące dęby obala swem wszechmocnem ramieniem dopiero potęga rozszalałej burzy.

Tak bywa i w życiu społeczeństw.

Powierzchowne albo nic nie znaczące zmiany w ich ustroju wywołać może lada błysk niezadowolenia, lada podmuch szemrania groźnego. Póki jednak wszechpotężną siłę ludu kiełzna obawa czy „rozsądek“, póki ta siła wodzona jest na pasku ogólnie uznanych i powszechnie cenionych norm działania — poty pełni ona tylko rolę buntującego się niewolnika i nic więcej. A bat-prawo i kryminał, bat-wyzysk i nędza potrafi sobie zawsze dać radę z nieposłusznym: każde ustępstwo okupić trzeba nierówną walką, z tysiącami ofiar, z niezliczoną ilością otrzymanych plag.

Dopiero, gdy zagrzmi dźwięk zrywanych pęt, gdy spętany olbrzym, jak słabą nić, rwie łańcuchy, gdy mocna Jego wola, krusząc przeszkody po drodze, pędzi niepowstrzymanie do celu i gdy ten cel wielkim się staje — jak świat cały, a jasnym — jak słońce, wtedy dopiero lud z niewolnika staje się panem.

Potężny i wielki — szalonym się zdaje tym, których moc zniweczył bezpowrotnie. Promienny i czysty — krwawo świecącą zmorą jest dla tych wszystkich, którzy w ciemnicy ducha żyć przywykli. Gdy ogniem nowych praw wypala trąd i gangrenę ucisku — zbrodniarzem jest dla tych, którzy na ucisku mas tuczyli się. A kiedy mieczem sprawiedliwego rozcina kęsy chleba i dzieli między głodnych — złodziejem i świętokradcą dla tych, którzy życie całe kradli, wydzierając od ust zgłodniałych ostatni chleba kawałek.

Ale lud, w czynach swoich, dla ludu ma być wielkim i wspaniałym, a nie dla jego wrogów.

Potęgą jego będzie, jeżeli w szeregi gnębicieli rzuci strach i przerażenie, a w kadrach własnych rozbudzi wiarę gorącą.

Wspaniałością jego będzie gdy postrąca z chmurnych szczytów wyzysku tyranów, a niezliczone rzesze wprowadzi na słoneczne wierzchołki równości i braterstwa.

Takim musi być wielki, rozszalały w swojej mocy lud.

— — — — — — — — — —

Czemże jest Pierwszy Maj?

Zrodziła go wiara gorąca w wszechmoc ludu, w słoneczną jasność jego ideałów.

Wierzono, że gdy wypręży przykute do taczek bezmiernej pracy ramiona i powie: stań się! — to runie świat wyzysku i nędzy.

Wierzono, że gdy rozwinie skrzydła swego ducha i powie: chcę! — to wzniesie się w krainy świetliste, gdzie niemasz miejca na smutek i ból.

I wierzono wreszcie, że lud — to w senną niemoc zaczarowany olbrzym. Trzeba go zbudzić! Trzeba mu zagrać pobudkę wiosenną, trzeba zaszeleścić sztandarem w purpurze jego krwi własnej zbroczonym.

Niech wstanie! Niech świat w posadach swoich drży!

I dlatego, gdy w dniu Pierwszego Maja przez ulice miast maszerują kadry zwolenników socyalizmu, to niech to będzie nie armia niemocnych w swoim buncie niewolników, ale armia potężnych i niezwalczonych szermierzy.

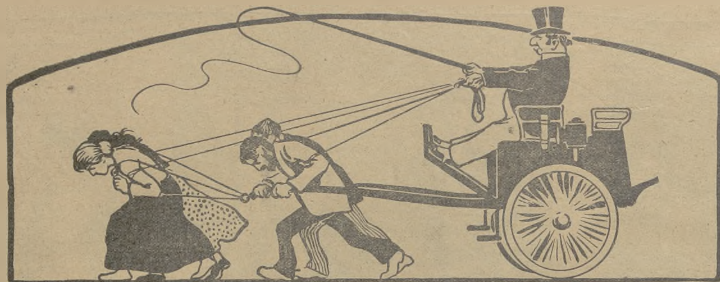
Dumni, pewni siebie i gorąco wierzący, że niosą ludzkości zbawienie, że są apostołami NOWYCH PRAWD, twórcami NOWEGO ŻYCIA — niech kroczą śmiało!

A co po drodze — niech albo czoła chyli, albo skruszone, uledz musi...

Idzie LUD — przyszły PAN i WŁADCA świata!

Zbigniew Woszczyński.

Czem jest lud dotychczas? — Niczem!
Czem być powinien? — Wszystkiem!



,,Chociaż to życie idzie po grudzie, nie źli, dalbóg, nie źli są ludzie: ten temu brat, ten temu swat a ubogiemu — to każdy rad"! —

FR. MIRANDOLA: NA BÓJ!

Na bój! Niech orla zemsty pieśń,
Stalowych ramion naszych moc,
Rozwali czarną grobu cieśń...
Upiorną noc.

Na bój! Nie liczyć dzisiaj sił...
Nie patrzeć kędy pada strzał...
Potrzeba, by lud cały wstał
I wolny był...

Za knut, łańcuchy, krew, za łzy,
Za przemoc straszną tylu lat,
Niesiemy pomstę, pozna świat,
Że ŚWIT, to my...

Na bój! Czerwony w górę znak!
Spełnijmy krwawą ofiar kruż...
Nad ugór łez czerwony wzleciał ptak...
Dość cierpień już!

Czciciele mamony.

Napisał
ksiądz proboszcz Herman Kutter.

Obojętnie spoglądacie na nędzę ludzkości. Nie drżycie przed krzykiem nieszczęśliwych. Wasze czoła są twarde jak stal, wasze serca jak skała. Nie jesteście czułymi marzycielami; chłodno, realnie i trzeźwo spoglądacie na wzburzoną grę fal zwaną życiem. Człowiek musi potrafić coś wytrzymać, nie będzie nigdy porządnym bez kłopotów i trosk — to jest wasza zasada. Macie słuszność. Jesteśmy stworzeni do walki, do zwycięstwa i łamania trudności. Nie powinniśmy bać się złego i nie wahać się przed niepewnem. Powinniśmy mężnie stawić czoło przeciwnościom, iść mężnie na spotkanie śmierci, bez zmrużenia oka wytrzymać wszystkie ciosy, które życie na nas zsyła. Macie racyę. Dlaczego jednak to prawo staje się odrazu największem bezprawiem, dlaczego ta prawda zamienia się zaraz w piekielne kłamstwo, gdy wasze przywileje, posady, korzyści, gdy wasze pieniądze są w niebezpieczeństwie? Dlaczego zachwycacie się przebiegiem wydarzeń życiowych, dopóki one pochłaniają egzystencye najbiedniejszych i dlaczego wołacie pomocy, gdy wasze szczęście jest zagrożone?

Czy prawdą jest, co podli pochlebcy szepcą w wasze uszy, że wy jesteście innymi ludźmi, z innej lepszej krwi?

Czy prawdą jest, że Bóg rozmaicie ustanawia losy ludzi, że już przy urodzeniu przeznacza biednym nieszczęście, a bogatym powodzenie?

Wiecie sami, że to jest fałsz i kłamstwo. Przecież niejeden z was z nędzy wyrósł na mocarza kapitalistycznego.

Ale jedno wam powiem: Mamona zaślepiła wasze serca, zaciemniła wasz rozum, złamała waszą siłę. Mamona zabrała z waszych serc prawo i sprawiedliwość, prawdę i miłość i wpoiła w nie specyalną moralność. Istnieje specyalna prawda pieniądza, prawo pieniądza, moralność pieniądza, pobożność pieniądza. Pieniądz ustanowił 10 przykazań za przykładem Boga. Te przykazania wzięliście sobie do serca. Czyżbyście nigdy przedtem nie słyszeli: A nie będziesz miał innych bogów oprócz mnie, nie sprawisz sobie niepotrzebnych obrazów, myśli i zastrzeżeń, nie będziesz czcił co jest w niebie i na ziemi, albowiem ja, **p i e n i ą d z**, jestem wielkim bogiem, który każde nieposzanowanie mszczę na dzieciach i potomkach dzieci, a czczenie go nagradzam bogactwem i dobrodziejstwami. A nie będziesz z pogardą mówił o mamonie, gdyż nie ominie nikogo kara, kto to czyni. A przez 6 dni będziesz robił interesa dla mamony, a siódmego dnia będziesz o niej pamiętał. A będziesz mamonę czcił, abyś długo żył i miał powodzenie ze swymi papierami wartościowymi, które ona ci da. A nie złamiesz wiary mamonie. A będzie kradł ile tylko zmożesz. A będzie fałszywie zeznawał i fałszywych praktyk wobec swego bliźniego używał, gdyż mamona to lubi. A nie będziesz pożądał niczego od twego bliźniego, tylko jego pieniędzy.

Czy nie znacie tych przykazań? O, nieprawdaż, całkiem inaczej spogląda się na życie w świetle waszej moralności, całkiem inny świat otwiera się przed waszymi oczami. Rozumiemy, dlaczego bogaty i potężny uważa się za coś lepszego od biedaka: ocenia bowiem człowieka wedle tego, ile ma pieniędzy — mamona tak chce. Rozumiemy, że nad bogatym czuwa opatrzność boska, a biednemu daje odczuwać swą niełaskę: bogiem tym jest mamoma, dla której ubóstwo jest największym wstydem.

Pojmujemy zupełnie, dlaczego prawo staje się bezprawiem, a bezprawie prawem — mamona bowiem ma inną moralność niż żywy Bóg. Dzieje się, jak Jezus powiedział: Nie możecie służyć Bogu i mamonie.

Niema większego bezrozumu, jak ten, który czciciele mamony uważają za działalność żywego Boga.

Nie rozumieją kwestyi społecznej, ponieważ ona właśnie ma na celu wyrównanie tych sprzeczności. Mówią o rewolucyi, ponieważ drżą o swoje pieniądze.

FRANCISZEK PIĘTAK: NOWE ZYCIE.

Z przegniłych trupów nowe wstały duchy,
Silne, potężne, piękne w swym rozkwicie
I ożywiły cmentarz pusty głuchy:
Na smutnych grobach nowe wstało życie.

I tu, gdzie dotąd rządziła wszechmocna
Martwota, pustka i cisza grobowa,
Dzisiaj wre praca zbożna i owocna:
Z rumowisk wstaje potężna budowa.

Mrok smutnych mogił nie wróci tu więcej,
Światło w dalekie rozlewa się strony,
Radość owłada sercami tysięcy,
Bo nad grobami błysnął świt czerwony.

Odpocznie ludzkość, odpocznie w zachwycie
Po dniach niedoli, cierpień i boleści,
Bo już zaczęła inne nowe życie,
Bo ponad światem nasz sztandar szeleści.

Z przegniłych trupów nowe duchy wstały
I smutne groby ożyły na nowo;
Mogiły pieśń nam przecudną zagrały:
Idziem na gody — na ucztę gotową.

KRONIKA.

— **Szpital czy mordownia?** Przed kilku dniami oddano na oddział obłąkanych szpitala św. Łazarza człowieka umysłowo chorego nazwiskiem K a p u s t a. Był on chory na manię religijną — po za tem żadnej krzywdy nikomu nie czynił. Nagle ów Kapusta w szpitalu zmarł, a sekcya wykazała, że miał ż e b r a p o ł a m a n e oraz sińce z pobicia pochodzące po całem ciele! Niewątpliwie więc nieszczęśliwego człowieka s ł u ż b a s z p i t a l n a p o t w o r n i e z a m o r d o w a ł a! Służba ta, licho płatna i podle żywiona stoi pod bezpośrednią komendą sióstr miłosierdzia, które są

w szpitalu wszechwładnemi paniami. Dobierają też sobie przedewszystkiem pobożne dusze — a że tam, kto z nich łeb choremu ukręci — to mniejsza! Ale szpital ma ludziom zdrowie powracać, a nie być dla nich grobem! Zwracamy się do Prokuratoryi państwa ze stanowczem żądaniem, aby tego potwornego mordu płazem nie puściła. To nie pierwszy już raz mordują tam ludzi, a zawsze kończy się to niczem! Co robi tam niedołęga — dyrektor, czy się go na cztery wiatry napędzić nie powinno? Czy się ma jeszcze dłużej cierpieć w szpitalu pobożne siostrzyczki miłosierdzia? Żądamy na te pytania wyraźnej odpowiedzi — mordować biednych ludzi w krajowym szpitalu nie pozwolimy!

— **Jeszcze jeden kościół** chcą dusze pobożne z rady gminnej wystawić w Krakowie! Zaiste — za mało kościołów u nas — są ulice gdzie po 2—3 kościoły obok siebie stoją, a tu jeszcze jeden chcą pobożniccy macherzy budować — z okazyi utworzenia wielkiego Krakowa. Kiedy uchwalano budowę domu ludowego (na księżycu!) nic nie mówiono o pieniądzach, ale na budowę kościoła odrazu 100 tysięcy koron podatkowego grosza przeznaczono! — Czyż za te pieniądze nie należałoby raczej wystawić w Krakowie porządnego — szpitala? Przecież kościół taki pochłonie około 600—800 tysięcy koron — za tę kwotę możnaby piękny ufundować szpital. Ten projekt poddajemy pod uwagę ludzi rozsądnych — a nie wątpimy, iż przy dobrej woli da się uskutecznić.

— **Hrabia a żyd.** Nasi galicyjscy Jaśni Panowie lubią się zawsze nazywać opiekunami i ojcami ludu wiejskiego, zawsze głoszą, że dobro tego ludu leży im na sercu. W praktyce jednak wygląda to trochę inaczej. W Wielowsi, w powiecie tarnobrzeskim, spaliło się w marcu kilkanaście zabudowań chłopskich. Ponieważ pożar wybuchł w nocy, więc biedacy ci nietylko że nic nie uratowali, ale nawet ledwie z życiem uszli. W kilka dni udali się pogorzelcy do hr. Zdzisława Tarnowskiego w Wielowsi i chcieli **kupić (!)** zbozboża. Pan hrabia jednak nie sprzedał im ani ziarnka mówiąc, że nie ma zboża na sprzedaż. Chłopi udali się więc do p. Kanarka, obszarnika w Skowierzynie — żyda. Ten pie nięndzy za zboże nie wziął, lecz dał je zupełnie darmo; prócz tego dał im słomy, siana, plew i t. p. również za darmo.

Cóż na ten fakt Jaśni Panowie i ich sługusy, jedzący u ich żłobów? Czy to tak wygląda miłość chłopów? Wszyscy oni są gorliwymi rzymsko-katolikami. A czy to tak należy wypełniać przykazania Chrystusowe? Chłopów obdzierać ze skóry to umieją, lecz chłopów w biedzie poratować, to ani im w głowie.

Czy nie wstyd p. hr. Tarnowskiego, że żyd okazał się dla chłopów lepszym od niego?

Podobno interesa pana hrabiego idą bardzo kiepsko, tak kiepsko, że aż jego stryjaszek hr. Staś ze Szlaku, zapłacił za niego ładną sumkę długów. Owszem, niech „zrobi bankrut“ — im wcześniej tem lepiej. Chłopi wcale nie będą z tego powodu płakać.

A. NIEMOJEWSKI: ŻEGLUJMY WESOŁO.

I.

Wesoło żeglujmy po falach żywota,
Wesoło żeglujmy, wesoło!
Choć dziko wrą fale, choć łodzią wiatr miota,
Chmur czarnych nie widzim wokoło!
Na falach, na falach, jak hucznie, jak szumnie
To życie, to nasze ucieka,
A fale wzburzone, spienione tak tłumnie
Spiętrzają się, ryczące zdaleka!
I płyniem śród morza ludzkości wokoło,
Śród dzikich, spienionych odmętów
I kiedyś nasz żagiel powieje wesoło
Na masztach przeznaczeń okrętów!

II.

Wesoło my lećmy, jak ptaki swobody
Na lądy i morza z kolei!
Wesoło my lećmy! Uskrzydla wiek młody
I pnszcza z burzami stulecia w zawody,
Jak ptactwo skrzydlate idei!
Wesoło my lećmy nad tłumy te śpiące,
Co legły bez ducha wokoło!
Pod nami tumany przesądów świat ćmiące,
Nad nami w obszarach rozlewa blask słońce,
Wesoło my lećmy, wesoło!
Na skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie
My dumne podnieśmy dziś czoło!
Ulecim jak ptaki, zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie,
Wesoło my lećmy, wesoło!

Śmierć nędzy i — próżniactwu!

Praca jest uciemiężoną i wyzyskiwaną, dopóki narzędzia pracy nie są własnością robotników. A własnością wszystkich robotników mogą stać się wtedy, jeżeli będą własnością ogółu państwa, społeczeństwa. Praca jest obowiązkiem człowieka. Każdy człowiek powinien pracować, a kto jest zdolny do pracy a nie pracuje, nie ma prawa do życia. W obecnym świecie obowiązuje przeciwna zasada: człowiek pracujący żyje w ucisku, skazany jest na nędzę, podczas gdy leniwy rządzi i używa. Czy tak ma zawsze być? Czy lud pracujący chce wiecznie znosić jarzmo próżniaków? Czy chce tego? Nie! Czy może to znosić? Nie może, jeżeli nie chce wyrzec się swych praw ludzkich swojej godności ludzkiej i swojej egzystencyi ludzkiej. Z szeregów robotniczych po miastach odzywa się już grzmiący głos: „Śmierć nędzy i próżniactwu!“ Jak długo jeszcze potrwa, zanim głos ten znajdzie echo na wsi? Zapewne nie zrobiono dotychczas dość dla rozszerzenia idei socyalno-demokratycznych między ludnością wiejską, ale trudność takiej propagandy na wsi niech nam, posłuży za usprawiedliwienie! Ale zaniedbane musi być rychło naprawione. Obowiązek ludzki i interes partyjny nakazują nam to *).

Wilhelm Liebknecht.

*) „Kwestya rolna“ 1873.

Baczność Murarze Zachodniej Galicyi!

Od dnia 26 kwietnia b. r. lokal Sekretaryatu murarzy będzie się mieścił przy ulicy Zwierzynieckiej l. 10, w Krakowie.

K. Łapiński.

Baczność Murarze Galicyjscy!

Ciężkie warunki życia zmusiły murarzy w Jarosławiu do postawienia żądań majstrom, o podwyższenie płacy zarobkowej, a przytem skrócenia czasu pracy. Murarze pragnęli drogą legalną pokojową przyjść do porozumienia i zgody, stawiając skromne żądania podwyższenia płacy dziennej o 60 halerzy, i skrócenie czasu pracy o pół godziny. Żądania te są zupełnie usprawiedliwione szalejącą drożyzną. Ale butni i niesumienni wyzyskiwacze odrzucili wszystko, nie chcąc nawet słyszeć o jakiemśkolwiek polepszeniu bytu robotnika, z którego pracy dostatnio żyją. Na takie bezczelne postępowanie majstrów, robotnicy natychmiast odpowiedzieli na zgromadzeniu odbytem w tym samym dniu, uchwalając jednogłośnie prace we wszystkich budowach porzucić.

Wzywamy Was przeto Koledzy, w imię solidarności, aby żaden nie stał się zdrajcą swych współpracowników, i pracy w Jarosławiu stanowczo nie przyjmował aż do odwołania.

Murarze Jarosławscy.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI

Głos ze wsi. Piszcie o okolicznych sprawach, artykuł nadesłany nie nadaje się do druku.



W pogoni za ideałem.

Upraszamy Szanownych P. T. Prenumeratorów i Czytelników, by przy zakupnie wszelkich towarów łaskawie powoływali się na ogłoszenia „Prawa Ludu".

Odpowiedzialny redaktor: Zygmunt Klemensiewicz. Z Drukarni Ludowej w Krakowie, Filipa 11.